Rok V. Kraków-Podgórze, Wtorek 9 Lipca 1907 Nr 183

4 Cena Numeru wszędzie Centy (8 halerzy).

PRENUMERATA

miesięczna wszędzie, zarówno w Krakowie jak na prowincyi 2 K, już z dostawą do domu, względnie z przesyłką pocztową. — **Prenumerata za granicą 2 marki, 3 franki, 1 rs. 20 kop.**

POJEDYNCZE EGZEMPLARZE NABYWAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH AGENCYACH PISM i NA WSZYSTKICH DWORCACH KOLEJOWYCH.

NOWINY

Dziennik niezawisły demokratyczny illustrowany.

OGŁOSZENIA

za wiersz petitu 16 hal., za każdy następny raz 12 hal., drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu (minimum 50 hal.). Nadesłane za wiersz petitowy 50 hal., spody na każdej stronie po 3 Kor. — Załączniki 20 Kor. za tysiąc.

Inseraty prowadzi w swoim zarządzie p. M. Hupczye.

Administracya „NOWIN": Rynek gł. L. 8, otwarta od 9—1 w południe i od 3—5 popołudniu.

Na Lwów Skład i Ekspedycya: Agencya Sokołowskiego, Pasaż Hausmana L. 2.

Redakcya i Administracya „Nowin": Kraków, Rynek gł. L. 8, Tel. 627, Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12 w południe. — Ekspedycya „Nowin" w drukarni Rynek gł. L. 8.

REDAKTOR NACZELNY: **LUDWIK SZCZEPAŃSKI.**

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje Redakcya (Tel. 627) od godziny 9 rano do godziny 7 wieczorem w biurze Rynek gł. L. 8, I. p. Rękopisów nie zwraca się.

„NOWINY" wychodzą wieczorem o 5 i zrana o 8. Cena numeru 4 ct. (8 hal.). W poniedziałki i dni poświąteczne „Nowiny" wychodzą o 9 zrana. Cena 2 ct.

Prosimy odnowić prenumeratę.

Prenumerata „Nowin" wynosi 2 korony miesięcznie

już z dostawą do domu i przesyłką poczt.

Miejscowi abonenci mogą płacić albo w administracyi, albo do rąk inkasenta, **nie zaś roznosicielom** (kolporterom).

Uwaga: Biura redakcyi i administracyi „Nowin" zostały z dniem 27 czerwca przeniesione do lokalu

przy Rynku głównym L. 8, 1. piętro

(drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, telefon Nr. 627).

Z Królestwa Polskiego.

Represye. — Ukaz gubernatora piotrkowskiego przeciw szkole rolniczej im. Głowackiego. — Zakaz noszenia emblematów polskich. — Fabryka bomb. — Zamach na pociąg wojskowy.

Z Warszawy piszą nam: W Królestwie zaczęła się teraz era represyi. Rząd ogranicza coraz to bardziej uzyskane drobne swobody — i w administracyjnej drodze gnębi społeczeństwo i prasę. I tak n. p. gubernator piotrkowski ogłosił następujący znamienny ukaz:

„W niektórych pismach zjawiły się artykuły, wzywające do zbierania ofiar na szkołę rolną im. Bartosza Głowackiego i ustawienia tablic pamiątkowych w parafiach Rudowice i Szczekociny.

Ostrzegając przed składaniem na ten cel jakichkolwiekbądź ofiar, oświadczam, że organizatorzy i osoby, biorące udział w zbieraniu ofiar na ten cel, pociągnięci będą w drodze administracyjnej do kary pieniężnej do wysokości 3000 rubli, lub kary więzienia do 3 miesięcy".

Szkoły polskie — są wogóle dla rządu największym kamieniem obrazy i „Macierz szkolna" w Królestwie z największemi musi walczyć trudnościami i ani jednej trzeciej części zamierzonych szkół założyć nie mogła.

Jenerał gubernator Skałłon ogłosił zaś ukaz, zabraniający wyrobu i noszenia i przechowywania wszelakich *polskich emblematów!* Otwarło się więc znowu pole dla samowoli policyjnej. Policya może teraz swobodnie konfiskować orzełki i łańcuszki do zegarka etc.

Wybuch na poddaszu, w domu przy ul. Berga, odkrył policyi **laboratoryum bomb.**

Po usunięciu gruzów okazało się, że oprócz różnych chemikaliów, w laboratoryum tem znajdowało się pięć przygotowanych z lanego żelaza cylindrów do bomb, 17 większych metalowych rurek do bomb, z których jedna napełniona była melinitem, oraz 40 takich samych rurek mniejszych. Wykryto następnie sześć lontów do zapalania bomb, z tych jeden gotowy już do użytku, maszynkę do spajania bomb, a raczej rurek umieszczanych w bombach, wreszcie sporą ilość blachy, cynku i ołowiu i sześć brauningów. Laboratoryum to należało, zdaje się, do jakiejś bandyckiej organizacyi, która zamierzała ograbić Bank handlowy w Warszawie. W domu mieszkali tylko niepodejrzani lokatorowie; policya aresztowała stróża kamienicy i kilka osób, przychodzących do domu.

Rewolucyjna frakcya bojowa P. P. S. dała znów znak życia, wykonując **bombami** atak na **pociąg wojskowy** w pobliżu stacyi Łapy. Rzucono **granat**, który uszkodził tor; rzucono też bomby, które jednak nie wybuchły. Pociąg wiózł dwa pułki gwardyjskie. Zamach nie pociągnął za sobą ofiar; sprawcy uszli.

Jaki zawód obierzemy dla synów naszych?

Nowa szkoła fachowa w Krakowie. — Ważne dla rodziców.

Ze sprawozdania, ogłoszonego za rok 1906/7 przez dyrekcyę wyższej szkoły handlowej w Krakowie, dowiadujemy się, że we wrześniu b. r. zostanie otwarta **„dwuklasowa szkoła handlowa"**. Ponieważ jest to typ szkoły w kraju **mało jeszcze znany**, zaznajomimy z nią bliżej naszych czytelników.

Celem tej szkoły jest przygotować uczniów w ciągu 2 lat nauki do tego stopnia, by po ukończeniu nauki mogli objąć *posady w kantorach, składach, fabrykach lub handlach*, kształci dalej ta szkoła *przyszłych kupców względnie buchalterów i korespondentów kupieckich*. Program nauk obejmuje naukę języków polskiego i niemieckiego, geografii i towaroznawstwa, rachunków kupieckich, korespondencyi, buchalteryi, naukę o handlu i wekslach, stenografii i kaligrafii, oraz pisania na maszynie. Do klasy I przyjmuje się uczniów, mających lat 14 i ukończoną 3 klasę wydziałową, gimnazyalną lub realną (bez egzaminu). O ile miejsce wolne się znajdzie, przyjmować się będzie uczniów, nie mających powyżej podanych studyów na podstawie egzaminu wstępnego z języka polskiego, niemieckiego, rachunków, historyi naturalnej i geografii w zakresie nauk, udzielanych w 3 klasowej szkole wydziałowej.

Ponieważ absolwenci tej szkoły nie będą mieli prawa jednorocznej służby wojskowej, gotową jest dyrekcya dla uczniów, którzy tę dwuklasową szkołę z dobrym postępem ukończą, otworzyć kurs przygotowawczy do egzaminu wojskowego, nadającego prawa jednorocznej służby wojskowej (t. zw. „Intelligenzprüfung).

W rezultacie może młodzieniec po trzyletniej nauce w tej szkole zyskać prawo jednorocznej służby wojskowej i fachowe wykształcenie, umożliwiające mu objęcie posady już w 18 roku życia, może stać się już czynnym członkiem społeczeństwa i przyczyniać się do podniesienia dobrobytu swego i całego kraju. W interesie bowiem społeczeństwa i jednostek leży, aby jak najmniej marnować sił i młodzieńczego zapału i skłonić młodzież do wczesnego rozpoczęcia pracy naukowej lub praktycznej, stosownie do zamiłowania, usposobienia i zdolności.

Im społeczeństwo dojrzalsze, tem łatwiej, tem prędzej decyduje się młodzież, w jakim kierunku ma pracować, tem staranniej unika zmarnowania choćby krótkiego nawet czasu. Decyzya ta u młodzieńca 14-letniego na podstawie objawionych już zdolności i zamiłowania, tudzież owoców pracy w niższych klasach szkół średnich nie powinna być trudną, łatwo bowiem ocenić, czy nadaje się do dalszej pracy naukowej, czy też powinien wejść na tory pracy praktycznej, zawodowej. Wytężająca, długoletnia praca umysłowa przy braku wrodzonych zdolności nie da szczęścia, wytwarza tylko malkontentów z niczego nie zadowolonych, a mających pretensye do wszystkiego i wstręt do książki, do kształcenia się.

Powodem jest złe zrozumienie wrodzonego człowiekowi, najszlachetniejszego popędu do nabywania coraz wyższego wykształcenia; co innego jest przecież wykształcenie, a co innego praca na polu naukowem. — Do nabycia wykształcenia i do dalszej pracy w tym kierunku powołani są wszyscy bez wyjątku, do pracy na polu naukowem tylko wyjątkowo uzdolnione jednostki. Może więc i kupiec i buchalter itp. być człowiekiem bardzo wykształconym, mimo, że pracować będzie na polu praktycznem, nie naukowem. Do niezadowolenia przyczynia się także i ta okoliczność, że dziewięć dziesiątych naszej młodzieży kształci się nie na producentów, lecz na konsumentów, skutkiem czego dobrobyt kraju podnieść się nie może, a ogólna bieda i niezadowolenie zwiększa się z roku na rok.

Nikt nie chce zrozumieć, że wszyscy wykształcenia uniwersyteckiego mieć nie mogą, że społeczeństwu przynosi jednaki zaszczyt i dobry nauczyciel, adwokat, lekarz, urzędnik, jak i dobry kupiec i przemysłowiec i rękodzielnik, jeżeli jest w swoim fachu wykształcony i spełnia należycie swoje zadanie. Jednaką szkodę przynosi zaś społeczeństwu bez wyjątku każdy, kto za młodu dawał się zbytnio powodować fantazyi, zachciankom, rojeniom, a w późniejszej pracy życiowej stracił ufność we własne siły, zamiłowanie do swego zawodu i chęć do dalszego kształcenia się, bo pracuje bez wiary, a więc i bez skutku i szerzy pesymizm i niezadowolenie w całem swojem otoczeniu. Te fatalne błędy naszego społeczeństwa przeszkadzają należytemu podziałowi pracy, bez którego nie było i nie będzie ekonomicznego rozwoju narodu.

Społeczeństwo niemieckie i czeskie, nie szukając daleko, dawno zrozumiało, czego mu potrzeba i pootwierało całe szeregi szkół, których wychowankowie nabywając obok ogólnego wykształcenia, także zupełne wykształcenie fachowe, już w bardzo młodym wieku zaczynają pracować na siebie, stają się producentami, przyczyniają się do zbogacenia kraju i choć sami nie pracują na polu nauki i sztuki, ale za to kupują i czytają dzieła uczonych i poetów, ozdabiają swe mieszkania dziełami sztuki, nie są artystami, ale są mecenasami. U nas jest, niestety, przeciwnie.

Do takich szkół należą dwuklasowe szkoły handlowe. W Wiedniu uczęszcza do nich 779 uczniów, w prowincyach niemieckich 307, w Czechach. Morawach i Śląsku 1247, w Galicyi w Samborze około 80.

Krakowską 2-klasową szkołę handlową powinna zapełnić młodzież, kończąca szkoły wydziałowe, niższe klasy szkół średnich, aby wytworzyć silny, średni stan kupiecki, klasę ludzi fachowo wykształconych, pełnych zapału do zawodowej pracy, nie zniechęconych do kształcenia się, ale rezygnujących rozsądnie z karyery naukowej, która przecie wyjątkom tylko jest dostępna, ludzi patrzących trzeźwo na życie, zdolnych do wywalczenia sobie i społeczeństwu lepszej doli na polu pracy ekonomicznej.

„Kanikuła".

(Z krakowskiego bruku).

Od pierwszych dni lipca zaczyna się Krakowianom grunt powoli pod nogami usuwać. Każde trzy pokoje z kuchnią i przedpokojem pełne są gwaru familii, radzącej z ołówkiem w ręku i „Fahrplanem", gdzieby to pojechać, by módz wytchnąć i „czas zabić". Obrady zresztą całkiem na miejscu. Słońce operuje, że aż rolety stają się pomarańczowe z rozpaczy, salon jest gorący, jak świeżo upieczony tort, a na dworze tyle jest prochu, że nic nie widać i człowiek może się zadusić. Magistrat zrobił sobie wakacye, nic go to nie obchodzi, zresztą po co, kiedy najsympatyczniejszy z naczelników p. Nowotny dostał i tak kołnierz majorski. Zresztą choćby magistrat potroił zabiegi w kierunku zamiatania i polewania ulic, to i tak ludzi nie przekona, że w Krakowie jest czysto. Taki to już niewierny ten ludek krakowski... Więc wolno już wszędzie mówić, że właściwie wszystko to razem jest „psia krew", nudna kanikuła.

Toteż coraz mniej ludzi na ulicy, a coraz więcej kurzu, sytuacyi nie uratuje nawet „Wesoła wdówka", którą zacna lwowska operetka (daj Boże zdrowie dyrektorowi Hellerowi) przynajmniej przez dziesięć razy z rzędu zamierza nam osłodzić nudy kanikuły.

Nie pomaga śliczna wystawa i czarująca muzyczka. Waliska, imitowany (oczywiście!) kapelusz „panama", drewniana „ciupaga" i — w góry, w góry miły bracie! Niemasz, jak to Zakopane!

Zostają tylko ci, co muszą.

Z nich niektórzy zajmują wobec kanikuły krytyczne stanowisko: „pal sześć".

Nowy

Żyd wieczny tułacz

153 według Eugeniusza Sue

opracował Walery Tomicki.

Ciąg dalszy.

— W całem mem życiu nie dopuściłam się złego czynu; jeślim zbłądziła, to w dobrej wierze. Chciałabym widzieć wokoło siebie wszystkich szczęśliwymi, ale przecież nie jestem waryatką... a wreszcie uczuć można samej, czy się jest waryatką lub nie, a ja tego bynajmniej nie czuję... jeszcze teraz... Czy wiem... mówisz mi tak straszne rzeczy o tych tam dwóch kobietach... musisz przecież lepiej, niż ja, znać się tam... lecz w takim razie — dodała panna de Cardoville tonem przerażającej rozpaczy — wypadałoby coś przedsięwziąć; dlaczegóż, jeśli mi pan dobrze życzysz, czekać było tak długo?... A co nadewszystko najstraszniejsze, ja nie wiem jeszcze, czy mam panu wierzyć... bo to może zasadzka... Ale nie... nie... płaczesz... A więc by to miała być prawda, a więc... ponieważ płaczesz... — dodała, patrząc na doktora, który, pomimo bezczelności i nieczułości, nie mógł się wstrzymać od łez na widok trudnych do opisania męczarni. — Płaczesz nademną... a więc to prawda...? ale, przez Bóg żywy, wypada więc coś przedsięwziąć, nieprawdaż? O! ja zrobię wszystko, co zechcesz... tak, wszystko... bylebym nie była taką, jak owe kobiety... jak owe kobiety... jak owe kobiety z zeszłej nocy... A gdyby było zapóźno?... nieprawdaż, mój kochany panie Baleinier?... O! teraz, proszę cię, nie pamiętaj nic z tego, com ci powiedziała, kiedyś wszedł... Bo wtedy, możesz sobie wyobrazić... nie wiedziałam...

Po tych krótkich, łkaniami przerywanych słowach, które wymawiała jakby w jakiem obłąkaniu, nastąpiło kilka minut milczenia, a doktór, mocno wzruszony, oczy sobie obcierał.

Już mu sił brakło.

Adryanna zakryła sobie twarz rękami; potem nagle podniosła głowę; na twarzy jej widać było więcej spokoju, lubo przebiegał po niej jeszcze dreszcz konwulsyjny.

— Panie Baleinier — rzekła z tkliwą godnością — nie wiem, com panu przed chwilą powiedziała; zdaje mi się, że przestrach obłąkał mnie; jestem w twej mocy, wiem o tem; nic mnie wyrwać nie zdoła... wiem o tem; ale czy jesteś moim nieubłaganym wrogiem?... czy przeciwnie moim przyjacielem? o tem nie wiem: czy rzeczywiście obawiasz się, jak mnie zapewniasz, aby to, co obecnie jest we mnie tylko dziwactwem, nie stało się z czasem szaleństwem; albo jesteś tylko wspólnikiem piekielnej przeciwko mnie intrygi... ty sam wiesz tylko o tem... Pomimo mojej odwagi, uznaję sama, że jestem zwyciężona. Cokolwiekbądź żądać będą odemnie... rozumiesz pan?... cokolwiekbądź... z góry zgadzam się na wszystko... daję na to słowo, a słowo moje jest pewne, pan o tem wiesz... Nie będziesz miał żadnego powodu zatrzymywania mnie tutaj... Jeżeli przeciwnie, szczerze przekonany jesteś, że mój rozum zagrożony jest niebezpieczeństwem, a wyznaję panu, żeś obudził we mnie, niewyraźną wprawdzie, ale przerażającą wątpliwość... powiedz mi, a uwierzę ci... Jestem sama, na twej łasce, nie mam przyjaciół, nie mam się kogo poradzić... A więc ślepo polegam na tobie... Czy błagam o litość mego zbawcy, czy mego kata?... tego nie wiem... ale mówię mu: masz moją przyszłość... moje życie... bierz... już nie mam mocy bronić ich przed tobą...

Te tkliwe słowa rezygnacyi, rozdzierającej serce, zadały ostatni cios wahaniu doktora Baleinier.

W chwili, gdy zbliżał się do panny de Cardoville, chcąc ująć ją za rękę, głos piskliwy, ostry, dał się słyszeć poza drzwiami i wymówił te słowa:

— Panie Baleinier!...

— Rodin... — mruknął przestraszony doktor — on mnie podsłuchiwał!

— Kto to woła pana — spytała Adryanna doktora.

— Osoba, której wyznaczyłem tu miejsce do pomówienia dziś rano... — odrzekł doktor zmartwiony.

— A teraz cóż mi pan odpowiesz? — zapytała Adryanna, dręczona niepewnością.

Po chwili uroczystego milczenia, podczas którego doktor oglądał się ku drzwiom, rzekł głęboko wzruszonym głosem:

Dalszy ciąg nastąpi.

Znam z takich jednego kawalera (IX. rangi, lat 32, pokój z przedpokojem, kawiarnie Kijaka i Janikowskiego, chory na żołądek, brunet, nie lubi emancypacyi kobiet, wogóle trzeźwy i krytyczny). Spotykam go na plantach.

— Panie! Upał, nudy i t. d.

— Pal sześć! łaskawy panie!

— Ależ panie! Nic się nie dzieje, Rusini w parlamencie już ochrypli, parlament już się kończy, niema wypadków...

— Pal sześć! Zresztą pan się myli. O, patrz pan! Pan mówisz tu spokojnie, a tam, w operetce, za kulisami, aż kipi...

— Wolne żarty... Pan wyjeżdża?

— Ależ po co? W Krakowie jest wszystko. Ja n. p., drogi panie, jadam obiady u Hechtera na dworcu kolei, zupełnie jakbym jechał do Zakopanego, kąpię się na Lido we Wiśle, mieszkam przy ul. Ogrodowej, mam znajomości (hm! hm!) przy ul. Rajskiej, chodzę do fotoplastikonu przy ul. Floryańskiej i oglądam „Tatry", a teraz właśnie idę na bombkę do Wentzla...

— Ale upały?

— Pal sześć!

— Do widzenia. *Iks.*

Z Londynu.

(Willegiatura na Tamizie. — Tygodniami w łodzi. — Pałace wodne. — Sfery średnie i wyższe. — Życie za Frickenham. — Riviera angielska. — Corso na Tamizie. — Przyroda i wpływ jej na ludzi.

Po wielkim sezonie w stolicy rozpoczął się obecnie w lipcu sezon przebywania i zabaw nad rzekami i na rzekach. Każdy należący, lub pragnący należeć do „smart set", do „high society" opuszcza w tej porze duszny i skwarny Londyn i udaje się „do wód". Na pobyt wśród malowniczych gór szkockich jeszcze za wcześnie. W pobliżu stolicy znajdujące się miejsca kąpielowe: Brighton, Eastbourne czy Margate, dla szerszego ogółu łatwo dostępne, nie są i nie były nigdy uważane za „fashionables". Ale bez powietrza i światła, bez ogrodów i wody Anglik żyć nie może i dlatego to w lipcu wybrzeża Tamizy są bardzo zaludnione. Większa część mieszkańców Londynu zajmuje nadbrzeżne wille i domki; niewielka stosunkowo ich ilość urządza swe siedziby na wodzie.

Znany pisarz K. Jerome w barwnych rysach i z humorem przedstawił kilkutygodniowe życie kilku młodych ludzi, spędzone w zwyczajnej łodzi (w książce „Thre men in a boat"). Ale widzi się też na Tamizie wiele domów i pałacyków wodnych, stanowiących prywatną własność osób, które w nich mieszkają. Te łodzie-domy są rozmaitych kształtów, wielkości, mniej lub więcej ozdobne i wykwintne, zależnie od gustu i stanu finansów właścicieli.

Wczesnym rankiem wyskakuje się z łóżka wprost w wodę; po śniadaniu udaje się gentleman parowczykiem, wśród zielonych wybrzeży, do city, a wieczorem powraca w grono rodzinne, zamieszkałe w pałacyku na wodzie. Tam, przy świetle księżyca i gwiazd, przy blasku ogni sztucznych i lampionów, przy akompaniamencie muzyki przyjmuje się gości i składa się wizyty.

Ludzie zamożni, lecz jeszcze nie bogaci: wyżsi urzędnicy, adwokaci, profesorowie, których obowiązki i w czasie kanikuły przykuwają do bruku wielkomiejskiego, udają się, po zajęciach popołudniowych, na ustronne, małe przedmieścia, i tam, na wybrzeżach Tamizy, w wynajętych mieszkankach letnich spędzają resztę dnia, noc i wczesny ranek. Kingston, Surbiton, Hampton, Richmond — i jak one się tam wszystkie nazywają, są obecnie gęsto zaludnione. Roi się tam od młodych Londynian, przybranych w białe garnitury flanelowe, „sailor-hats"; wielu z nich ćmi krótkie fajeczki. Odpowiednie pendants stanowi płeć piękna. Wszystkie tramwaye i koleje przedmiejskie są w porze popołudniowej przepełnione.

„Życie łodziowe" rozpoczyna się już na przedmieściu Putnej, u południowo-zachodniego krańca Londynu. Znajdujący się tam most na Tamizie jest celem wielkich regat, które się rozgrywają corocznie między oboma uniwersytetami, a które budzą zawsze powszechne zainteresowanie. Ale dopiero poza wielkimi zakrętami rzeki, za Trickenham, gdzie krasa okolic czyni pobyt na Tamizie prawdziwie rozkosznym, rozpoczyna się właściwa „Riviera" angielska, której widokiem John Bull nigdy nie może się nacieszyć. Tu niebo jest błękitne, a woda, na którą padają refleksy łąk i drzew, odbijających swe lśniące korony w drgającem jej zwierciadle — metalicznie zielona.

Jedzie się wzdłuż niemających końca alei, pod wysokiemi wierzbami, które tworzą po obu brzegach Tamizy zielone baldachimy, chroniące łodzie przed skwarem słonecznym. Łódź mija miasteczka, wsie, pałacyki, małe zamki, zgrabne wille, otoczone ogrodami; woń ich kwiatów zalatuje na wybrzeża. Dokoła cisza; słychać tylko plusk wody, wywoływany wiosłami. Obcemu zdaje się, że przebywa w jakiejś krainie zaczarowanej, wyśnionej w bajkach.

Tam to na czas największych upałów przenosi się tutejsza „haute-volee"; tam odbywają się corsa wodne, przypominające pod pewnym względem niedzielne, południowe „church-parade" w Hydeparku. O prawidłowem wiosłowaniu i mowy być nie może, gdyż łódź płynie przy łodzi i możnaby suchą nogą przejść z jednego brzegu Tamizy na drugi. Cała ta zbita masa eleganckich wehikułów wodnych posuwa się naprzód bardzo powoli.

Oparte o miękkie, białe poduszki damy prowadzą rozmowy z sąsiedztwem. Przybrane są w wykwintne toalety. Niemałą rolę odgrywają kapelusze, podobne niekiedy do wielkich ptaków wodnych, o żywem, jaskrawem ubarwieniu piór. Młodzi kawalerowie, w lśniąco białych strojach, stoją, potrącając z lekka wiosłami. Towarzystwo pozdrawia się i zawiera się nowe znajomości, żartuje, flirtuje — a wszystko z wielkim taktem, właściwym Anglikom. Wdzięki przyrody rozpromieniają oblicza. Bujne, zielone, wonne łąki i gaje, miły chłód, jakim darzy ludzi Tamiza — wszystko to wywiera wpływ błogi na zdrowie; dodaje świeżości, krzepkości i sił młodzieńczych. By Anglika zrozumieć, trzeba z nim spędzić czas pewien w łodzi, czy w pałacyku wodnym na Tamizie.

Nieszczęsny bal u „Rotesia".

U państwa Rottersmanów miał się odbyć bal. W wielkim lokalu, w którym pp. Rottersmanowie wydawali „wieczór" dla młodzieży obojga płci, z demokratycznem zrównaniem stanów i rang, wieku i „siarży", w sobotę już ruch panował niezwykły. Uprzejmy gospodarz, nie w lakierkach wprawdzie, ale w wygodnych pantoflach sam osobiście pilnował porządku, czuwał nad tem, aby gościom niczego nie brakowało. A więc wyszorowano podłogę, oczyszczono ją z pozostałości jeszcze z czasów karnawału, wymyto wszystkie meble, p. Rottersman sprawił nowe lampy i nowy świecznik, na ścianach zawieszono kilka luster... Jak ma być bal, to porządny!

W niedzielę więc zapełniły się wieczorem ubikacye gościnne pp. Rottersmanów. Wprawdzie nie było przed budynkiem ich przy ulicy Filipa powozów, ani nawet pospolitych dryund, ale zabawa zapowiadała się hucznie i wesoło. Zjawiały się jedna po drugiej Rózie i Marysie w sukienkach, od których zalatywała woń tanich perfum, albo spirytusu, wylanego przy pieciu na stanik, przychodziły Wiktusie i Marcysie, Hanusie i Cesie bądź pojedynczo, bądź z „kawalirami pod pachą", rozpromienione, rozbawione nadzieją zabawy. Panowie „siarża" szli nie z jednemi, ale z kilkoma zazwyczaj kobietami, bo to wiadomo, że do „siarży" wzdycha każda niewiastka.

Rozgwar wesoły napełnił całą salę. Śmiech, chichoty, wykrzykniki pijanych, chrapliwe okrzyki dziewuch, bawionych przez dzielnych synów Marsa, wszystko to zmieszało się wkrótce w pełen oszałamiającej wesołości wir, który ogarnął wszystkich. Zdawało się, że ściany ruszą się z posad i zaczną razem z tymi gośćmi skakać i śmiać się.

Pan Rottersman chodził, częstował wódką — za wódkę jednakże goście musieli płacić — i radował się w myśli, że krakowskiemu ludkowi dogodził. Zabawa już weszła na właściwe Rottersmanowe tory.

Wreszcie ozwała się muzyka.

„Rachciachciach!" rozległo się po sali i tłum cały zakołysał się i ruszył w tan, wykrzykując „Rachciachciach!" w takt melodyi.

— Pódźże panna potańcować! — słychać było naokół.

— Zaroz póde, ino se poprawie bucIki, bo mi obcasy odpadają! — odpowiadała jakaś Marysia.

— Niech mnie pon tak nie ścisko! — piszczała Hanusia, którą objął wpół i należycie przyciskał jeden z wyższej „siarży".

— Sakramencko hołota! — krzyknął jakiś Antek — przewracając się na ziemię.

— Ci tyż chodzić nie umi, a chce tańcować! — wołała inna dziewucha.

— Rany boskie, nie deptajcie po nogach, bo ja bucIki zdjęła! — krzykła przeraźliwie Basia.

A muzyka grała, tłum cały się kołysał, wił wężem po sali, para mknęła za parą, czasem ze sali aż na podwórze, gdy naraz, jakby piorun strzelił i wszystkich poraził, muzykanci zaprzestali grać, p. Rottersman zrobił strasznie długą minę i pary przystanęły i umilkły.

— Sułony przyszły! — szepnął Antek.

— Rany boskie, ratuj pon, panie „fir", bidnom kobitę!

Ale policya nie ograniczyła się na wejściu. — Zaczęła odrazu badać fizyognomie bawiących się, specyalnie kobiet. Zdawało się, że policya zarzuca, jak ten rybak, olbrzymią sieć i czeka, aż się w nią ryby nałapią.

Czekanie nie trwało długo, sieć wypełniła się i kiedy policya opuściła gościnny lokal, w gronie jej znajdowało się już 23 dziewcząt, uczestniczek zabawy. Skutek był piorunujący. Reszta gości cichcem opuściła lokal, muzyka się wyniosła, pozostał jeno p. Rottersmann ze swojemi niezbyt wesołemi myślami.

Okazało się jednak, że policya była na tym balu potrzebną. Z pomiędzy 23 aresztowanych rybek, 6 musiała policya odesłać do szpitala, jako wenerycznie chore. Tak się nieszczęśnie skończył bal u Rottersmanna.

Co słychać w mieście?

Kraków, dnia 9 lipca 1907.

Rynek, L. 8, pierwsze piętro: tam znajdują się obecnie biura administracyi i redakcyi „Nowin" i tam szanowni P. T. Abonenci zechcą uiszczać prenumeratę za kwartał III. (miesięcznie 2 kor. już z odniesieniem do domu). Telefon redakcyi „Nowin" 627 (drukarnia K. Wojnara).

Ze spraw miejskich. Na onegdajszem posiedzeniu miejskiej komisyi sanitarnej uchwaliła komisya upraszać prezydyum miasta, aby na zjazd lekarzy i przyrodników we Lwowie wysłało jednego z lekarzy miejskich z poleceniem złożenia sprawozdania. Następnie przyjęła ko-

RUDYARD KIPLING.

Moti Gudż-buntownik.

(Dokończenie).

Disa wziął do ręki młot do wbijania pali pod namioty i uderzył nim dziesięć razy w kopyta Moti Gudża. Moti Gudż ryczał i przestawiał nogi.

— Dziesięć dni! — powtórzył Disa — będziesz pracował, wyrywał drzewa i ciągnął kłody według rozkazów tu obecnego Cuhuna. Weź Cuhuna i posadź go sobie na karku.

Moti Gudż zwinął koniec trąby w kółko, a Cuhun wsadził w nie nogę i już siedział na karku słonia. Disa podał mu ankus — żelazny pręt do kierowania słoniem. Cuhun kuł nim w łysą głowę Moti Gudża z takim zamachem, jak brukarz wbijający kamienie w krawędzie chodników. Moti Gudż zatrąbił.

— Cicho! prosiaku leśny, spokojnie! Cuhun jest twoim panem przez dziesięć dni; a teraz pożegnaj się ze mną o! panie mój! o! mój królu! Klejnocie wybrany z pośród wszystkich słoni! Lilio moja ukochana! Bądź cnotliwy, pilnuj swego zdrowia i żegnaj mi!

Moti Gudż objął Disę w pół ciała trąbą, podniósł go do góry i potrząsł nim dwa razy. Taki miał sposób, aby mu powiedzieć: „do widzenia".

— Teraz będzie pracował bezemnie — rzekł Disa — czy mogę odejść?

Plantator skinął głową, a Disa skoczył w gęstwiny leśne i znikł bez śladu. Moti Gudż wrócił do korczunku.

Cuhun pełen był dla niego życzliwości, jednak Moti Gudż czuł się nieszczęśliwy i opuszczony. Napróżno Cuhun dawał mu różne przysmaki, łechtał go w podbródek, a mały dzieciak Cuhuna żartował z nim po skończonej pracy i żona Cuhuna nazywała go swoim kochankiem. Moti Gudż miał starokawalerskie upodobania, jak Disa. Nie odczuwał rozkoszy domowego ogniska. Wzdychał za „kapką", za twardym snem pijanicy, za dzikiemi razami młota i za dziką pieszczotą.

Pozatem pracował pilnie i plantator unosił się nad jego cnotami.

Disa tymczasem wałęsał się po drogach, póki nie spotkał ślubnego orszaku ludzi swojej kasty i pędząc noce na hulatykach i tańcach, zapomniał rachuby czasu.

Brzask jedenastego dnia zapłonął na widnokręgu, a Disy ani śladu. Moti Gudż uwolniony z obowiązku, spojrzał dokoła, otrząsnął się, podniósł ramiona i stanął przed siebie, jak ktoś mający pilne sprawy do załatwienia.

— Hi! Ho! A dokąd to? Wracaj i bierz mnie na siebie, ty pagórku ruchomy! Wracaj blasku wyżyn. Ozdobo całych Indyj, podnieś mnie, bo ci nie zostawię jednego kopyta u twoich nóżek.

Moti Gudż odpowiedział wdzięcznym chichotem, ale nie usłuchał. Cuhun puścił się za nim z linką i odpędził go. Moti Gudż zsunął uszy na czoło, a Cuhun wiedział co to znaczy, lecz pragnął wycofać się z honorem.

— Niema żartów ze mną — krzyknął — wracaj do swojego pala, czarci synu!

— Hrrrumf! — odpowiedział Moti Gudż — a to znaczyło odmowę, bo i uszy spuszczone na czoło. Potem urwał sobie wykałaczkę do zębów, w postaci dwunastostopowej gałęzi i przechadzał się po korczowisku, pokpiwając ze słoni, które się brały do roboty.

Cuhun pobiegł ze skargą do plantatora, który wyszedł uzbrojony w ogromny bat i trzasnął nim parę razy dla postrachu. Moti Gudż posunął swoją pobłażliwość dla białego człowieka do tego stopnia, że poniósł go przez ćwierć mili i złożył na werendzie, „hrumfując" przytem zapamiętale. Potem stanął przed domem, trzęsąc się od śmiechu, porwany prawdziwym szałem wesołości — jakiemu ulegają czasem słonie — tak mu się wydawała ta awantura zabawną.

— Trzeba go obić — zadecydował plantator. — Dostanie takie baty, jakich jeszcze żaden słoń nie dostał. Niech Kala Nag i Nazim wezmą po dwanaście stóp łańcucha i niech mu wsypią dwadzieścia razów.

Kala Nag czyli czarny wąż i Nazim, dwa największe słonie na plantacyi, spełniały oprócz innych zajęć, służbę policyjną. Używano ich do karcenia innych słoni, bo niema człowieka, któryby zdołał tego gruboskórca porządnie oćwiczyć.

Kala Nag i Nazim ujęły łańcuchy trąbami i pobrzękiwały nimi groźnie, przechodząc koło Moti Gudża, którego chciały dostać między siebie.

Moti Gudż, przez cały swój trzydziestodziewięcioletni żywot nigdy nie dostał chłosty i nie miał wcale ochoty nabierać w tej dziedzinie doświadczenia. Toteż czekał na zaczepkę, huśtając łbem na prawo i lewo i upatrując na tłustym brzuchu Kala Naga miejsca, w któremby najgłębiej mógł pogrążyć swój tępy kieł.

Kala Nag kłów nie posiadał, tylko łańcuch służył mu za oznakę godności i władzy. Więc w ostatniej chwili wycofał się, udając, że przyniósł łańcuch jedynie dla zabawki. Nazim wykonał także zwrot w tył i nie miał dziś jakoś humoru do bójki. W ten sposób Moti Gudż pozostał panem stanowiska.

Plantator, widząc, jaki obrót wzięły rzeczy, zaniechał wszelkich nieprzyjacielskich kroków i Moti Gudż przez nikogo nieturbowany poszedł na karczowisko w charakterze gościa, przyglądając się, jak robota idzie.

Starych przyjaciół klepał po plecach i pytał ich się, czy korzenie same wychodzą z ziemi. Nagadał dużo głupstw o warunkach pracy i o przyrodzonem prawie słoni do długiej popołudniowej drzemki. Chodząc to tu, to tam, demoralizował całą plantacyę aż do zachodu słońca, póki nie stanął przy swoim palu w oczekiwaniu na wieczerzę.

— Kto nie pracuje, niech nie je — rzekł z gniewem Cuhun — jesteś dzikim słoniem, wracaj do dżungli.

Mały, brunatny dzieciak Cuhuna tarzał się właśnie w chacie po ziemi i wyciągał pulchne ramiona do olbrzymiego cienia, który stanął przed drzwiami. Moti Gudż wiedział, że to największy skarb Cuhuna i zaczął tak kusząco raz po raz podawać mu zwiniętą trąbę, że małe bronzowe stworzenie rzuciło się na nią z okrzykami radości. Moti Gudż podniósł chłopca do góry i zakołysał nim dwanaście stóp nad głową jego ojca.

— Panie wszechmocny! — krzyknął Cuhun. — Dwanaście ciast, po dwie stopy każde, pokropionych rumem, dam ci zaraz i dwieście funtów młodej trzciny cukrowej, tylko postaw w bezpiecznem miejscu tę okruszynę, która jest mojem sercem i mojem życiem.

Moti Gudż ustawił chłopca wygodnie między swojemi przedniemi nogami, któremi, gdyby chciał, mógł całą chatę zamienić na wykałaczki do zębów — i czekał na wieczorny posiłek. Spożył go ze smakiem, a dzieciak wyczołgał mu się z pod nóg na balyka.

Moti Gudż usnął potem, marząc o Disie. Jedna z licznych tajemnic otaczających życie słoni, polega na tem, że to olbrzymie cielsko mniej potrzebuje snu, niż wszelkie inne stworzenie.

Cztery godziny na dobę wystarcza mu w zupełności. Dwie godziny przed północą śpi słoń na jednym boku, a dwie godziny po północy na drugim. Resztę nocnych godzin przepędza przy jadle i na wymrukiwaniu długich tajemniczych monologów.

O północy, wbrew swoim zwyczajom, wyszedł Moti Gudż wielkiemi krokami w stronę lasu, bo przyszło mu na myśl, że Disa leży może gdzieś w błocie pijany, nie mając nikogo, aby nad nim czuwał.

misya opracowaną przez fizyka instrukcyę dla golarzy i fryzjerów.

Śmiertelność w Krakowie. Fizyk miejski przedłożył na onegdajszem posiedzeniu miejskiej komisyi sanitarnej, odbytej pod przew. wicepr. Chylińskiego, sprawozdanie o przebiegu chorób nagminnych i śmiertelności w Krakowie w pierwszem półroczu b. r. Ze sprawozdania tego okazuje się, że stan zdrowia ludności w tem półroczu był pomyślny. Procent śmiertelności wynosił 16·3 na 1000 mieszkańców. Z tyfusu brzusznego nie było ani jednego wypadku śmierci. Choroby zakaźne pojawiały się rzadziej, niż w roku ubiegłym. Na 119 wypadków szkarlatyny zmarło osób 14, na dyfteryę zapadło 44, zmarło 2.

Czternasta apteka w Krakowie. Komisya sanitarna, zgodnie z opinią gremium aptekarzy, oświadczyła się na wczorajszem posiedzeniu za otwarciem czternastej apteki w Krakowie w dzielnicy Wesoła za torem kolejowym.

Artyści lwowskiego teatru ludowego po skończonym sezonie w Krakowie, wyjeżdżają pod kierunkiem p. Pilarskiego do Szczawnicy zaproszeni przez tamtejszy zarząd. Repertuar składa się z najnowszych fars i lekkich komedyi. Przybycie drużyny artystycznej, która przez krótki swój pobyt zjednała sobie uznanie, zapewnia letnikom miłe spędzenie wieczoru.

Oj, ci złodzieje! Czego się oni już nie boją? Nawet mieszkanie radcy policyjnego, nawet mieszkanie, strzeżone przez specyalnego agenta policyjnego nie odstrasza ich. Widocznie złodziejska brać w Krakowie zaczyna się na seryo zuchwalić, kiedy dopuszcza się kradzieży w mieszkaniu przedstawiciela władzy.

W nocy z soboty na niedzielę włamali się nieznani sprawcy do mieszkania radcy Rękiewicza przy ul. Dietlowskiej l. 91 i skradli mnóstwo rzeczy, z których jednakże część zostawili, bo, jak się zdaje, spłoszył ich agent policyjny, czuwający nad tem mieszkaniem. Radca R. bawi obecnie z rodziną w Zakopanem; mieszkanie w Krakowie pozostawił na czas swojej nieobecności pod opieką jednego z agentów. Jak wiadomo, agenci po największej części w nocy mają służbę, skorzystali więc z tego złodzieje i włamali się do mieszkania wtedy, kiedy wiedzieli, że nikogo w niem niema. Plon kradzieży musiał być mimo wszystko obfity. Za sprawcami śledzi policya.

Z uzdrowisk. Lista gości w Iwoniczu wykazuje do 1 lipca osób 1763 (rodzin 888).

Straszny wypadek w Tatrach. Przed kilku dniami wracali dwaj turyści pp. Schönberg i Spiss, porucznicy niemieccy 10 pułku w Erfurcie (Würtembergia) z Morskiego Oka przez Zawrat do Zakopanego. Miejscami były wielkie śniegi. Schönberg przez nieostrożne stąpanie stracił równowagę i spadł na przeciwległą niższą turnię, odbił się od niej, spadł na śnieg zamarzły, tam sunął się z coraz większą szybkością po przestrzeni około 400 kroków i dostał się znów na skały. Rozbijając się w ten sposób, odbył drogę blisko jednego kilometra.

Gdy p. Spiss przybył, obchodząc dalekiemi drogami, na dół, zastał Schönberga nieżywego z rozbitą głową, poszarpanego nie do poznania. Stało się to około godziny 12-ej w południe.

O godzinie 5-ej popołudniu przybył pan Spiss do Zakopanego po pomoc. Wysłano kilku ludzi; p. Spiss, osłabiony wrażeniami zajścia i drogą, nie mógł ich zaprowadzić na miejsce, lecz określił je w przybliżeniu. Schönberga znaleziono we środę rano o godzinie 5-ej, przy nim, w woreczku, umocowanym na szyi, gotówką 240 koron i 200 marek. Łańcuszek złoty był poszarpany, a zegarek wypadł gdzieś zapewne. Zwłoki zniesiono we środę o godzinie 4-ej popołudniu do Zakopanego.

Jest to pierwszy wypadek w tym roku w naszych górach, a powodem była nieostrożność.

Zmarli. Jan Ewang. Zieliński, nauczyciel muzyki, organista parafial. od lat przeszło 40-tu, Sodalis Maryanus, kierownik urzędu cechowniczego w Bochni, zmarł nagle dnia 5 lipca 1907 r., przeżywszy lat 64. Pogrzeb odbył się w niedzielę 7 bm.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.

Wtorek: „Wesoła wdówka“.
Sroda: „Wesoła wdówka“.
Czwartek: „Mignon“.
Piątek: „Wesoła wdówka“.
Sobota: „Wesoła wdówka“.
Niedziela: „Opowieści Hoffmana“.
Poniedziałek. „Wesoła wdówka“.

„Wesoła wdówka" w Krakowie.

400 z rzędu przedstawień w Wiedniu, tryumfalny pochód po całym świecie, a wreszcie 28 przedstawień we Lwowie..... Przybyła wreszcie do Krakowa i nie zawiodła oczekiwań. Wdzięk i lekkość melodyj, w tempie walca, w które obfituje, bogata wystawa, libretto zręczniejsze od poprzednich fabrykatów spółki wiedeńskiej Leon i Stein — zjednały „Wdówce“ i w Krakowie pełny sukces. Panna Schuppówna była bardzo milutką pikantną wdówką, ale męskim partnerom brakło elegancyi. Przedstawienie omówimy obszerniej. *l.*

Zjazd Towarzystw Szkoły ludowej.

Rzeszów. (Tel pryw.) Wczoraj odbył się tutaj zjazd Towarzystw Szkoły ludowej. Domy przystrojono chorągwiami. Na szybach okien nalepiono kartki z napisem „Witajcie“. Po nabożeństwie rozpoczęły się obrady w sali Sokoła przy udziale około 170 delegatów. Nadeszły telegramy od poznańskiej Straży i śląskiej Macierzy, na które postanowiono odpowiedzieć telegramami. Po przemówieniach okolicznościowych przedstawił prezes Bandrowski rozwój Towarzystwa, podnosząc, że Towarzystwo nie pragnie stać się terenem walk politycznych, zaś unikać wszystkiego co nas dzieli i wszczepiać w lud ideały polityczne, lecz na tle narodowem. Kończąc poświęcił prezes wspomnienie pośmiertne ś. p. Wróblewskiemu. Wieczorem odbyło się w Sokole przyjęcie, dane przez miasto.

Wybory w T. S. L.

Rzeszów. Przy wyborach do zarządu głównego Tow. Szkoły ludowej wybrano z dawnych pracowników: prof. Ernesta Bandrowskiego, dra Jana Opleńskiego z Żółkwi, Józefa Sarnę z Krakowa, prof. Stanisława Srokowskiego z Tarnopola i Kaspra Wojnara. Nowemi siłami będą pp. dr Władysław Kiernik z Bochni, dr Władysław Kania z Krakowa, Antoni Mohr z Cieszyna, reprezentant tamt. Macierzy śląskiej, tudzież prof. Stanisław Sobiński, Jadwiga Strokowa i Włodzimierz Żuławski z Krakowa.

Do Rady nadzorczej powołani zostali dotychczasowi jej członkowie: pp. Jan Armółowicz, Paweł Ciompa, dr Juliusz Gertler, poseł Ignacy Petelenz i Władysław Turski.

Z Zagrzebia.

Zagrzeb. Na wczorajszem posiedzeniu komitetu wykonawczego koalicyi chorwacko-serbskiej, w którem wziął udział szef sekcyi Nikolic i posłowie do parlamentu austryackiego Ivaniszewic i Bjelnonowic ułożono tekst deklaracyi, jaka ma być złożona w Izbie magnatów. Z posłami dalmatyńskimi do parlamentu austryackiego omawiano rozmaite kwestye polityczne i postanowiono, aby wszyscy posłowie dalmatyńscy do Rady państwa odbyli wkrótce konferencyę z posłami chorwackimi w Zagrzebiu.

Wiedeń. Dziennik dla rozporządzeń wojskowych ogłasza ustąpienie dotychczasowego komendanta w Zagrzebiu jenerała Havanny i zamianowanie w jego miejsce jenerała Romualda Gerby. Marszałek polny porucznik Antoni Winzor został zamianowany szefem krajowym Bośni i Hercogowiny oraz komendantem Sarajewa.

Telegramy „Nowin“.

Konferencye ugodowe.

Wiedeń. Prezydent ministrów Wekerle, minister handlu Kossuth i rolnictwa Daranyi oraz sekretarze stanu przybyli dzisiaj do Wiednia celem rokowań ugodowych.

Wiedeń. Dzisiaj o godz. 9-tej rano odbyła się tu konferencya bawiących tutaj ministrów i referentów węgierskich pod przewodnictwem Wekerlego.

O godz. 11-tej udali się węgierscy ministrowie do prezydyum austrackiego gabinetu na konferencyę ugodową.

Bierny opór — praktykantów sądowych.

Praga. Praktykanci sądowi w Pradze rozpoczęli dzisiaj bierny opór i wykonują tylko te czynności, których od nich ustawa wymaga. Prezydent sądu zwrócił uwagę deputacyi praktykantów sądowych, że postępowanie ich nie jest legalnem, oraz donióśł im, że przy obsadzeniu nowych posad — uwzględnionych będzie około 61 praktykantów. Komitet praktykantów zapewnia, że otrzymał wiadomość z kraju, że praktykanci innych sądów oświadczyli swą solidarność.

Zamach na pociąg wojskowy.

Warszawa. O zamachu na pociąg wojskowy, podają jeszcze, że zamach wykonano między stacyami Łaby a Szepetowo. Pociąg wiózł do Petersburga z Warszawy wołyński pułk gwardyi, mianowicie 10 oficerów i 447 żołnierzy.

Zamachu dokonano w odległości dwóch minut od stacyi Łapy. Mianowicie na pociąg rzucono cztery bomby, a równocześnie kilkunastu ludzi, stojących z obu stron toru, zaczęło z rewolwerów strzelać do lokomotywy i wagonów.

Bomby nie eksplodowały.

Pociąg, nie zatrzymując się, pojechał dalej.

Od strzałów rewolwerowych odniósł ranę w głowę jeden tylko szeregowiec, nazwiskiem Petrow. Rana jest lekką.

Skonstatowano także, że uszkodzona została jedna szyna i dwa pokłady.

Wykonawcy zamachu w liczbie 18 zbiegli do lasu w gminie Poświętne. W pogoń za nimi wyruszył silny oddział wojska.

Południe Francyi uspokoiło się.

Montpelier. Zebranie burmistrzów uchwaliło objąć ponownie funkcye dopiero wówczas, gdy wyborcy na to się zgodzą i gdy rząd przeprowadzi w parlamencie zarządzenie dla złagodzenia nędzy winiarzy na południu. Równocześnie zażądano uwolnienia uwięzionych i wycofania wojsk.

Paryż. Pułkownik Auger przeniesiony został w stan spoczynku z powodu znanego rozkazu do żołnierzy i oficerów, w którym polecił wprawdzie wykonywanie rozkazów, dodał jednak, że żołnierzom wolno też i inaczej postąpić, gdy im to sumienie nakazuje.

Kradzież królewskich insygnii w Anglii.

Londyn. W zakonie św. Patrycego na zamku w Dublinie skradziono **królewskie insygnia** wartości **50.000 funtów szterlingów.** (Milion dwieście tysięcy koron!)

Uroczystości Garibaldiego.

Rzym. Wczoraj po południu udał się pochód, w którym wzięli udział przedstawiciele rządu, parlamentu i armii, oraz liczne deputacye miast i stowarzyszeń im. Garibaldiego i innych przed pomnik Garibaldiego na Kapitolu, gdzie złożono wieńce. Publiczność po drodze aklamowała pochód. Przed pomnikiem wygłoszono mowy.

Rozruchy rybaków pod Petersburgiem.

Petersburg. W okręgu kanału Ładogi przyszło do rozruchów z powodu sporów między robotnikami okrętowymi a właścielami. **Policya strzelała.** Osobnymi pociągami wysłano na miejsce strzelców gwardyi

Bomby w Chinach.

Szangaj. (B. Reutera). W sobotę wieczorem wykonano zamach dynamitowy na gubernatora gdy wykonywał inspekcyę żandarmeryi. Eksplodowała bomba, przyczem trzej oficerzy zginęli, a jeden odniósł zranienia.

Ameryka zbroi się przeciw Japonii.

Waszyngton. Prezydent Roosevelt kazał oświadczyć, że wysłanie floty na wody Oceanu Spokojnego, ma na celu tylko wypróbowanie szybkości floty amerykańskiej, nie ma zaś żadnych celów wojennych.

Rozmaitości.

Angielskie Monte Carlo. W Londynie zawiązało się konsorcyum kapitalistów, którzy złożyli pokaźną sumę 200.000 f. szt. (około 5 milionów k.) na zbudowanie okrętu, który ma być przeznaczony na „pływający dom gry“. Okręt ten zarzuci kotwicę w pobliżu Brighton, po za obrębem jurysdykcyi, i — jak sobie obiecują właściciele — ma ściągnąć żądnych gry magnatów angielskich i turystów.

Nauczycielka w roli kata. W szkółce miejskiej w Brukseli jeden z uczniów pokłócił się ze swym kolegą i jak to zwykle bywa, chłopcy zaczęli się bić. Nauczycielka schwyciła winowajcę, założyła mu pętlę na szyję i powiesiła na klamce od okna. Chłopak zaczął się dusić i szarpać, ale nauczycielka oświadczyła mu z zimną krwią, że „będzie wisiał tak długo, aż mu język na szyję wylezie“. Na krzyk kolegów nieszczęśliwego delikwenta wpadł do klasy przełożony szkoły i przy pomocy uczniów uwolnił ledwie już dyszącego chłopca. Posłano natychmiast po policyę i aresztowano zbrodniarkę.

Nowe źródło tlenu. Według doniesienia amerykańskiego pisma „Iron Age“, udało się Towarzystwu, wyzyskującemu słynny wodospad Niagary do produkcyi chemicznej, wytworzyć nadtlenek sodu we formie, która ma tę właściwość, iż wobec pary wodnej i kwasu węglowego wydaje ze siebie tlen czyli kwasoród, a ponieważ właśnie w powietrzu wydychanem znajdują się para wodna i kwas węglowy, przeto nadtlenek sodu może służyć do przebywania przestrzeni, w której niema koniecznego do oddychania tlenu w powietrzu. — Próba potwierdziła to przypuszczenie. Zamknięto człowieka w szczelnej skrzyni, której powietrze mogłoby wystarczyć do oddychania co najwięcej przez 20 minut, zaopatrzywszy go w kilogram nadtlenku sodu. Pokazało się, iż człowiek w tej skrzyni zamknięty, mógł w niej przebyć sześć godzin bez żadnych dolegliwości. — Jeśli dalsze próby z nowym przetworem, któremu nadano miano „oxionu“, wypadną pomyślnie, zyska się w nim bardzo ważny środek do przebywania w przestrzeniach, do których powietrze atmosferyczne nie ma całkiem albo dostatecznego do życia dostępu, jak tego potrzeba dla łodzi podwodnych, nurków, straży ogniowej, wchodzącej do przestrzeni, wypełnionych szkodliwymi dla życia gazami itp.

Miasto podmorskie. Na wybrzeżu tunetańskiem odbywały się przed paru tygodniami konkursy nurków. Gdy jeden z nich przez dłuższy czas nie wypływał na powierzchnię, kilku jego towarzyszy, przywdziawszy skafandry, opuściło się w głąb morza i ku wielkiemu swemu zdumieniu znalazło mniemanego topielca, spacerującego po... świątyni podmorskiej. Nurkowie znaleźli na dnie morskiem dosyć jeszcze dobrze zachowane ściany budowli i posągi, świadczące, że w miejscu tem stało przed wiekami miasto. Ministeryum oświaty francuskie postanowiło wysłać ekspedycyę naukową celem poszukiwania dalszych śladów podmorskiego miasta.

Samochód wodno lądowy. Fabrykant motorów w Paryżu Juljusz Ravailler, zbudował samochód, który równie dobrze może służyć do podróży lądowej, jak i wodnej. Samochód ten posiada na lądzie szybkość normalną dla zwykłych (niewyścigowych) samochodów, i wymaga specyalnych szos; skoro droga wypadnie przez rzekę lub jezioro, samochód bez jakichkolwiek szczególnych przygotowań lub dodawania przyrządów, wprost z drogi zjeżdża na wodę i płynie z szybkością znaczną, gdyż 18 węzłów na godzinę. Kształtem swym samochód ów przypomina łódź torpedową, osadzoną na czterech kołach, z których dwa przednie służą jako ster, tylne zaś mogą być w razie potrzeby wprawione w ruch i działać, jak zwykłe koła parowców, ku czemu mają odpowiednio urządzone skrzydła wachlarzowate. Nowym wynalazkiem zainteresowało się bardzo francuskie ministeryum wojny; próby motoru, dokonane przezeń na ulicach Paryża i Sekwanie, dały wyniki pomyślne.

Siła ludzka w liczbach. Lekarz francuski Pignet wynalazł osobliwą metodę mierzenia siły ludzkiej: bierze się cyfrę wysokości ciała w centymetrach i odejmuje się od niej sumę liczb, wyrażających objętość piersi, również w centymetrach i wagę w kilogramach. Naprzykład młodzieniec 20-letni ma 80 ctm. obwodu piersi, wagę 60 kilo, suma więc wyraża się liczbą 140; odjąwszy od jego wysokości — 160 ctm. owe 140, otrzymamy 20, która to cyfra ma być skalą jego siły cielesnej, a siła jest o tyle większą, o ile owa skala wypadnie mniejszą. Tak więc: skala poniżej 10 oznacza bardzo wielką siłę, 10—15 wielką, 15—20 dobrą, 20—25 średnią, 25—30 słabowitą, 30—35 słabą. Doświadczenia poczynione przez Pigneta ze 150 rekrutami, potwierdziły te obliczenia.

Jaka będzie pogoda we wtorek?

Prognoza wiedeńskiej stacyi meteorologicznej: Galicya zachodnia: Pochmurno, mierne wiatry, ciepło, pogoda równomiernie się utrzymująca.

NADESŁANE.

za które Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

Przez całą noc szukał i węszył po krzakach, sapiąc i trąbiąc i kłapiąc uszami.

Zeszedł do rzeki i zadął z całej siły przy piaskowej ławicy, na której Disa zwykle go szorował.

Nie znalazł swojego przyjaciela, ale zaniepokoił wszystkie słonie na plantacyi i kilku nocnych włóczęgów o mało nie umarło ze strachu.

O świcie następnego dnia wrócił Disa. Dobrze mu się piło przez te dni i był kontent z siebie, ale czuł niepokój, bo wiedział coś o temperamencie Moti Gudża. Odetchnął, kiedy zobaczył, że bungalow i inne budynki plantacyjne stoją na swojem miejscu i poszedł się zameldować u plantatora, nie szczędząc kłamliwych wymówek i salaamów. Moti Gudż tymczasem zajadał śniadanie, nocna wycieczka dodała mu apetytu.

— Zawołaj słonia — rzekł plantator.

Disa krzyknął przeciągle w tym tajemniczym języku słoni, który według niektórych mahutów przybył z Chin, na początku świata, kiedy jeszcze na ziemi nie ludzie, ale słonie panowały.

Moti Gudż usłyszał i przyszedł.

Słonie nie galopują, tylko przechodzą z miejsca na miejsce z większą lub mniejszą szybkością. Gdyby przyszła słoniowi ochota gonić pociąg pospieszny, galopować by nie potrafił, lecz dopędziłby go z pewnością.

To też Moti Gudż stanął przed swoim panem, zanim Cuhun spostrzegł się, że odbiegł od swojego pala.

Wpadł w ramiona Disy, trąbiąc z radości. Zwierzę i człowiek płakali i ślinili się wzajemnie i obmacywali od stóp do głów, czy im się co złego nie stało.

— Teraz weźmy się do pracy — rzekł Disa. — Podnieś mnie, mój synu i moja pociecho jedyna.

Moti Gudż porwał go z ziemi, posadził na sobie i oboje wrócili na karczowisko podważać najtęższe pniaki, jakby nigdy nic nie zaszło.

Plantator zanadto się dziwował, aby mógł się bardzo gniewać.

Wydawca: Leszyna Szczepańska. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Szczepański. Druk W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie.